

MIURA

IZABELA MAENG



Blue Bird
Wydawnictwo

Miura
Copyright © Izabela Maeng
Copyright © Wydawnictwo Blue Bird

Wydanie I, Warszawa 2025
ISBN wydania EPUB: 978-83-978596-3-0

Redakcja: Joanna Karyś
Korekta: Patrycja Szura
Skład i łamanie: Piotr Mańturzyk
Ilustracja na okładce: Katarzyna Dąbek-Chmiel
Opracowanie okładki: Katarzyna Dąbek-Chmiel
Wektory: Katarzyna Dąbek-Chmiel
Redakcja techniczna: Joanna Danieluk

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w Internecie.

All right reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

www.wydawnictwobluebird.pl
www.instagram.com/wydawnictwo.bluebird

www.instagram.com/izabelamaeng
www.tiktok.com/@izabelamaeng
www.facebook.com/izabelamaeng
www.threads.com/@izabelamaeng

Trigger warning

Drogi Czytelniku!

Powieść, którą trzymasz w dłoniach, przeznaczona jest dla osób pełnoletnich. Niektóre treści bądź tematy w niej poruszane mogą być emocjonalnie trudne, w tym:

- Przemoc fizyczna, psychiczna i seksualna
- Depresja, próby samobójcze
- Trauma
- Zaburzenia odżywiania
- Dysfunkcyjne więzi rodzinne
- Śmierć
- Używki
- Rozbudowane sceny miłosne
- Krwawe i brutalne pojedynki
- Propaganda / Indoktrynacja / Dyktatura

I inne.

Dla Wszystkich, którzy również zrobieni są ze szkła



„Drodzy Obywatele, to już ostatnie wystąpienie telewizyjne,
którego będziecie świadkami w swoim życiu.

Bo oto nadszedł dzień pokuty.

Niech was nie zwiedzie obca propaganda.

Nie jesteśmy tyranami – tylko ogrodnikami.

Razem... Zasadzimy nową przyszłość”

— *Pierwszy Wielki Premier Republiki Elodyjskiej,*
fragment przemówienia inaugurującego Epokę Ciszy,
Warszawa, rok 2061

Rozdział 1

Kiedy byliśmy dziećmi, matka potrafiła całymi godzinami opowiadać nam bajki o internecie, mikrofalówkach, sztucznej inteligencji, Playstation, pralkach... Najbardziej lubiłem legendy Alexy i Siri. Być może dlatego, że choć od zawsze miałem bujną wyobraźnię, tych dwóch pań mój pięcioletni umysł nie był w stanie ułożyć sobie w żadną całość. Z czego są zrobione? Nie są zrobione. Są. Na różnych urządzeniach. Czym są urządzenia? Czy są bardzo malutkie i żyją na nożu do masła? Dlaczego nóż to nie urządzenie? Nie są ludźmi, ale myślą? Skoro myślą, to istnieją tylko po to, żeby... Puszcząć mi muzykę? Co to znaczy „puszczać”? Skąd wezmą instrumenty? Mamo, przyznaj się, opowiadasz o duchach, których nie widać i które istnieją tylko po to, żeby mówić nam, jaka jest pogoda na zewnątrz. Nie rozumiem. Przecież wystarczy spojrzeć w niebo. Częścią zabawy było to, że nawet moja mama nie знаła odpowiedzi na te pytania. Sama nigdy nie widziała na oczy elektrycznego czajnika, o którym opowiadała z taką pasją (mały metalowy pojemnik, do którego wlewasz zimną wodę, a wyjmujesz gorącą, bez użycia ognia – co za concept!). Na dziesięć moich pytań, ona zamiast silić się na kanciastą odpowiedź, dokładała dziesięć własnych znaków zapytania. Wspólnie za każdym razem dochodziliśmy do wniosku, że faktycznie, żadna z tych rzeczy nie ma sensu.

– Ale może kiedyś... Jeden z was mi to wytłumaczy – mówiła z uśmiechem, po czym nagle poważniała, przypominając sobie, że musimy się wyspać, żeby następnego dnia, jak każdego innego, dać z siebie wszystko w Szkole.

Mama zawsze wierzyła, że nawet jeżeli nasze szanse na zamieszkanie w Mieście są niewielkie, to jej obowiązkiem jako matki jest zrobić wszystko, aby przygotować nas do Egzaminu najlepiej jak to tylko możliwe. W sekrecie przed ojcem raz nawet wydała dużą część naszych oszczędności na zakup klasyki literatury ze Starego Świata. Książka miała tytuł *Zmierzch...* i nieźle namieszała nam w głowach. To właśnie wtedy odkryliśmy, że ludzie – nawet w latach dwutysięcznych – wymyślali inne, „magiczne” rzeczy w swoich opowieściach. Było to dla nas przedziwne. Jeszcze im było mało? No bo jak można mieszkać w świecie, w którym przedmioty poruszają się samodzielnie, w którym możesz widzieć, co robi druga osoba na końcu świata, a nawet z nią rozmawiać, w którym pokój wypełnia się światłem, kiedy do niego wchodzisz... I nazywać to „niemagicznym”?

Im więcej dowadywałem się o Starym Świecie z książek i w Szkole, tym bardziej marzenie mamy stawało się moim marzeniem. Będę codziennie trenował od wschodu do zachodu słońca, a kiedy skończę osiemnaście lat, wezmę udział w Egzaminie. Zdam go, a potem przetrwam obóz przygotowawczy w Tatrach, zostanę przyjęty do Akademii Wojskowej, dostanę kwaterunek w Mieście i w końcu, nareszcie... Na własne oczy... Zobaczę, jak działa czajnik elektryczny.

– I co zrobisz, jak już go zobaczysz? – zapytał mnie kiedyś Zara.

Czy mieliście kiedyś starszego brata? Takiego, którego bardzo kochacie, bardzo podziwiacie i jeszcze bardziej – skręca was z zazdrości na jego widok? Nie dość, że skubaniec urodził się pod jakąś szczęśliwą

gwiazdą i we wszystkim jest od was lepszy, to nawet się za bardzo nie stara, wygrywając setną partię szachów z rzędu. Zresztą, pal licha szachy. Był lepszy w walce mieczem, w łucznictwie, w jeździe konnej, stolarce, naukach Elodii, strzelaniu z ostrej amunicji i w każdym innym przedmiocie szkolnym. To, co mnie kosztowało wiele godzin wysiłku, krwi, potu i łez, jemu przychodziło z łatwością i niemal od niechcenia. Był szybszy, wyższy, bystrzejszy, zwinniejszy... I tak idiotycznie przystojny nawet, kiedy głowę miał całą we krwi po treningach. Nieśmiało poklepywanie w ramię w wykonaniu matki, że mój brat ma już prawie osiemnaście lat, więc nie powinienem się do niego porównywać, średnio mnie przekonywało. W moim wieku też miał lepsze wyniki. Jednak dla dobra dyskusji i własnego honoru zachowywałem ten argument dla siebie i fałszywie pozwalałem się pocieszać. Kiedy czasami mama to zauważała, dodawała jeszcze nieśmiało:

– Ale w pisaniu wypracowań i czytaniu jesteś lepszy.
Świetnie.

Jedyna myśl, która rzeczywiście przynosiła ulgę, to fakt, że... Z nim nie będę musiał rywalizować podczas Egzaminu. Przystąpi do niego szybciej, więc niech drżą jego rówieśnicy. A może nawet nie? Bo Zara, w przeciwieństwie do mnie, wcale nie spieszył się do Miasta.

Mama dała mu na imię Zara, bo według naszej babci Antonii, Zara w Starym Świecie było cudownym miejscem, w którym wszystkie kobiety były szczęśliwe. Czymkolwiek to miejsce było albo nie było, imię wydawało się trafione. Zarę interesowało wyłącznie uszczęśliwianie naszych sąsiadek. Oczywiście obiekt uszczęśliwiania zmieniał się co tydzień, ale jako że sąsiadek w naszym wieku mieliśmy zaledwie kilka, rotacja była intensywna. W efekcie nasze relacje podwórkowe przypominały ruletkę. Rząd dziewczynek, które cierpliwie – z uśmiechem na ustach i ze świeżo zaplecionym warkoczem – czekały, na którą ostatecznie wypadnie. Czasami widziałem w nich pierwsze oznaki zazdrości.

Pewnego ciepłego, letniego wieczoru, stojąc za rogiem stodoły, usłyszałem kłótnię o to, która ma „większe prawo” do mojego brata. Awantura skończyła się rzewnym płaczem w swoich objęciach i zapewnieniami, że zamiast się kłócić, powinny być szczęśliwe, że taki piękny chłopak mieszka u nich w wiosce, że powinny o niego dbać. Inne dziewczyny z okolicy muszą im przecież zazdrościć, że mogą go na co dzień oglądać z bliska.

Następnego dnia zobaczyłem Zarę w nowym, wydzierganym szaliku, a na wycieraczkę czekało opakowanie miodowych herbatników.

– To jest fanklub, nic innego, szukaj dalej – mawiał ojciec, gdy Zara wieczorami dumnie ogłaszała, że jakąś sobie wybierze.

Ostatecznie, moim marzeniem była ambitna kariera i czajnik, jego – bycie dobrym mężem i piątka dzieci. Po co ma szukać dalej? Każda tutaj jest wystarczająco dobra i ładna. W takich chwilach ojciec kończył dyskusję rozbawionym: „Dokąd się tak spieszysz?”. W takich chwilach... matka przechodziła w tle, jak zły cień i zabijała serce krótkim: „Będziesz miał szczęście, jak przy pierwszym porodzie żonka ci nie umrze”. Ojciec, żeby ją zagłuszyć, śmiał się jeszcze głośniej – i tak długo, aż twarz Zary znów nabierała kolorów.

Tylko wtedy, podczas tych krótkich, niemal nielegalnie podejrzanych chwil między nimi, gdy słyszałem śmiech ojca, wielki jak dzwon, i widziałem dołeczki w jego surowych policzkach... uderzało mnie, jak bardzo są z Zarą do siebie podobni.

– Te pierdolone dołeczki... Bez nich sama mieszkiałabym w Mieście.

Stałem w otwartych drzwiach i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie wiedziałem nawet, czy matka mówi do mnie, czy do stojącej obok pustej butelki po winie, którą ścisnęła tak mocno, że całe moje ciało impulsywnie skurczyło się w oczekiwaniu na pęknięcie.

– Rozumiesz mnie? Nie, oczywiście, że nie, ale to dla ciebie... Dla ciebie – wysyczała, wstając gwałtownie od stołu.

Wtedy już, niestety, miałem pewność: mówiła do mnie. Kupowałem ciszą kolejne sekundy w nadziei, że za chwilę z pokoju obok wyjdzie ojciec i wyzwoli mnie z tej sytuacji. Zamiast niego, tuż za mną, pojawił się Zara, który też właśnie wrócił do domu. On, w odróżnieniu ode mnie, nie zamarzł. Podbiegł do mamy i zaczął prowadzić ją w stronę sypialni.

– Może wystarczy? Za dużo wypiałś... Pokłóciłaś się z tatą? Gdzie on jest?

Mama opędzała się od niego coraz gwałtowniej, wyslizgując mu się z rąk jak mokra ryba. Taka, która zaskakuje siłą, mimo swoich drobnych rozmiarów. Jej krzyki zamieniły się w pełen szlochu bełkot o żarówkach, o świetle, które sprawia, że nocą jest jak za dnia na ulicach i o... Adamie. To wtedy po raz pierwszy usłyszałem jego imię. Kiedy Zara w szamotaninie zniknęła z mamą na piętrze, zostałem sam w kuchni. Sam z tym wielkim, ciężkim smutkiem, który po sobie zostawiła.

Adam... Znamy kogoś o tym imieniu?

Ojciec nie wrócił tej nocy do domu. Mama nie wyszła z sypialni przez cały kolejny dzień. I pewnie byłoby to absolutnie bolesne wspomnienie, gdyby nie Zara. Pełen lęku dzień w cichym domu, bez ojca i z matką za zamkniętymi drzwiami, zamienił w najlepszy dzień zabawy, jaki mieliśmy. Zabawy w dom. Nie wiem, czy to była kwestia fartuszka z falbankami, w który się ubrał, czy tego przypalonego obiadu, który niestrudzenie pichcił przez dwie godziny – ale kiedy patrzyłem wtedy w te jego lodowe oczy, z których zamiast chłodu dla mnie zawsze biło ciepło, pomyślałem, że... szkoda, że rodzice nie kłócą się częściej. Byłem bezpieczny.

Ojciec wrócił do domu wieczorem następnego dnia. Mama wyszła z sypialni. I rozpoczęli swoją własną zabawę w dom. Taką, w której

ostatnie dwa dni nigdy się nie wydarzyły. Jedynie we mnie coś się zmieniło. Bo od tamtej pory unikałem powrotów już nie tylko wtedy, gdy ojciec szeptał z butelką. Matki o spierzchniętych ustach, w które czerwień wina wsiąknęła zbyt gwałtownie, też wolałem już nigdy nie spotkać.

– Halo, ziemia do Miury, czemu nie odpowiadasz? Widzisz? Sam nie wiesz! – Zara parsknęła śmiechem. – No dalej, mów. Co jest tak bardzo fantastycznego w metalowym pudełku z bajek, które podgrzewa wodę?

Przez kilka sekund nie byłem pewien, czy się obrazić, czy nie. Przecież wiedział, jak bardzo chcę zobaczyć czajnik elektryczny. W połowie mojego pełnego zaangażowania wykładu na temat tego, że już jesteśmy wystarczająco starzy, żeby wiedzieć, co jest bajką, a co nie. I że te czajniki, tak samo jak telewizja, samochody, internet – naprawdę istniały! I nadal istnieją w obrębie Miasta! I jak można NIE chcieć ich zobaczyć... Zara kładzie mi rękę na głowie. Uśmiecha się i patrzy na mnie pobłaźliwie. Jakbym był cukierkiem. Cukierkiem-idiotą. A ja udaję, że tego nie lubię i strzepuję jego dłoń.

– Przecież wiesz, że jaja sobie robię. Nie traktuj siebie tak poważnie – kwituje i sam rozkłada się wygodnie na trawie.

Po chwili, wciąż nadąsany, ale kładę się obok.

Mamy kwadrans przerwy pomiędzy treningami. Czuję, jak pot spływa po moim ciele w takich miejscach, w których nawet nie wiedziałem, że mogę się pocić. Jest środek upalnego lata, a powietrze ugina się od ciężkich zapachów kwiatów i łąki. Usta powoli napełniają mi się ciepłą, lepką krwią... Najwyraźniej oberwałem mocniej niż myślałem podczas ostatniej lekcji. Kiedy otwieram oczy, Zara leży obok mnie. Widzę jak kąciaki ust wyginają mu się w tym tak dobrze mi znanym, zbójckim uśmiechu.

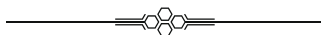
– Ty i twoje metalowe, ruszające się przedmioty... Jakby jakaś dziewczyna się do ciebie chociaż raz uśmiechnęła, to inaczej byś...

Walę go w bok, a on śmieje się jeszcze głośniej. W końcu wstaje, otrzepuje spodnie i ściska mocniej swój miecz treningowy.

– Dobra, a teraz pokaż mi, który cię tak urządził.

Wyciąga do mnie dłoń i pomaga mi wstać. W ostatniej chwili ją cofa, a ja ląduję z powrotem tyłkiem na trawie. Ucieka, kiedy próbuję go gonić. Ostatecznie, pozwala mi się złapać. Wiem, że pozwala. Bo wyglądam nieco żałośnie, kiedy tak bardzo nie potrafię go dogonić. A Zara nigdy nie pozwalał mi czuć się żałośnie. Nie wtedy, kiedy on jest obok.

Chciałbym, żeby ktoś mi wtedy powiedział. Chciałbym znowu mieć kilkanaście lat i tam być. Przytuliłbym go z całej siły. Wyszepiałbym, że jest moim starszym bratem i go kocham. I jeszcze, że go odnajdę. Choćbym miał zabić po drodze wszystkich tych skurwieli gołymi rękoma.



Rozdział 2

Dzień zaczął się jak każdy inny zwyczajny dzień: dzikim pianiem koguta punktualnie o piątej rano. Obudziłem się pierwszy, z nogą Zary na swojej klatce piersiowej, podczas gdy on dalej smacznie chrapał, rozciągnięty wspak na całą szerokość łóżka. Jak zwykle kopnąłem go kilka razy, żeby się obudził – i jak zwykle nie zadziało. Ale tego dnia wydało mi się to bardziej zabawne niż irytujące. Tego dnia wszystko wydawało się jaśniejsze i wspanialsze, bo tego dnia... Były moje piętnaste urodziny. Wiedziałem, że mama spędzi z tej okazji cały dzień w pocie czoła przy zewnętrznym piecu, szykując dla nas ucztę na wieczór: pieczeń ze śliwkami, ciasto, owoce z cukrem i karmelem, a po jedzeniu (jeśli mi się poszczęści) pozwoli mi się napić prawdziwej kawy, a nie tej farbowanej wody, którą oni piją na co dzień. Będziemy siedzieć wszyscy razem przy stole, w wazonie będą świeże kwiaty z ogrodu i może nawet ojciec, może nawet on, wysili się na jakiś komplement w moją stronę. Po obiedzie mama i Zara usiądą przy pianinie, ojciec będzie palił papierosy, a po kilku próbach uda mi się go namówić na partię Celebro.

Chciałem, żeby wieczór nadszedł jak najszybciej, więc nie rezygnowałem z prób obudzenia Zary. Im szybciej wstanie, tym szybciej przebrniemy przez obowiązki domowe, pojedziemy na zajęcia, posprzątamy, nadejdzie zmierzch i przyjemności. Zdziwiłem się,

kiedy nawet kciuk w oko nie zadziałał. Po chwili wahania, wsunąłem mu ostrożnie palec w otwartą buzię. Za późno zorientowałem się, że to była pułapka. Ugryzł, zanim zdążyłem wyciągnąć. Swoją urodzinowy poranek rozpocząłem więc od dzikiego skowytu z bólu. Przynajmniej Zara dobrze się bawił.

Nasz dom był duży i przestronny, ale sprzętów w nim mieliśmy niewiele. Dwa pokoje na piętrze były nawet całkowicie puste. Jedynym powodem, dla którego ja i Zara dalej dzieliliśmy łóżko, był fakt, że przez kilka lat nikt w okolicy nie sprzedawał łóżek. Potem zapomnieliśmy, że je chcieliśmy. Przypominało nam się tylko od czasu do czasu, kiedy w naszej wiosce pojawiał się jakiś zbłąkany wędrowiec i szukał miejsca do spania. Mama zawsze wyrwała się przed szereg, żeby zarobić kilka złotych więcej, a my lądowaliśmy na twardej podłodze, przysięgając sobie, że w przyszłym tygodniu sami zrobimy sobie to drugie wyro. A potem znowu zapominaliśmy.

Właściwie, to dlaczego?

Oprócz łóżka w naszym pokoju stała duża, drewniana szafa, którą również dzieliliśmy. Większość ubrań oczywiście należała do Zary. Lubił się stroić, może nawet bardziej niż dziewczyny ze Szkoły. A ja lubiłem czerni, bo wszyscy sławni żołnierze z Elitarnych nosili czarne uniformy. Oprócz szafy i łóżka mieliśmy jeszcze skrzynię na drobiazgi. Razem – trzy rzeczy. Zawsze w tym samym miejscu. A Zara z jednym okiem zamkniętym po przebudzeniu i tak zawsze zdołał się uderzyć w każdą z nich, zanim po omacku siedł napełnić wodę w zbiorniku na prysznic.

Napełnianie i podgrzewanie wody rano, tak samo jak pilnowanie nafty w lampach i rąbanie drewna, należało do jego obowiązków, bo był starszy. Ja musiałem zająć się zwierzakami. Jeżeli dobrze wykalułowalem czas, to zanim wychodziłem z pustymi wiadrami na podwórze, mijałem się w drzwiach z mamą. Zawsze dokładnie wiedziałem, kiedy jest odpowiedni moment na pokonanie ostatnich kilku stopni

schodów. Wskazówką był zapach świeżego chleba, który zanosila do domu z pieca. Matka nie zawsze byla w humorze na rozdawanie jedzenia przed sniadaniem, ale czasami udawalo mi sie wyzebrac buлке z rodzynekami, zanim ta wystygla. Z taka bułką w zębach zbieranie jajek, dojenie kóz i czyszczenie koni wydawalo sie mniej zmusne.

Nawet kurczaki maja osobne wyściółki. Serio, powinienem byl poprosic o lozko albo chociaz o materac na urodziny. Nie. To za drogi prezent.

Kiedy my siadalismy do sniadania, ojciec zazwyczaj byl juz w pracy. Jak wiekszosc mezczyzn w wiosce, pracowal w Centrum Zarzadzania Woda. Po pracy prowadzil maly bar za rogiem o niewdziecznej nazwie „Wal sie”. Myslal, ze to sprytne, bo ma na imie Waldemar. I choc mama byla zniesmaczona, to sasiedzi czule zaczeli nazywac bar Walusiem i juz tak zostalo. Do domu wracal przewaznie grubo po polnocy. Kiedy bylem mlodszy, prosbami, grozbami i placzami probowalem spedzic z nim wiecej czasu. Tesknilam za jego zapachem. Miętowy szampon, który mama wyrabiala w domu dla nas wszystkich, gryzl sie z zapachem tytoniu i znoszonej, skórzanej kurtki. Czasami, kiedy wracal w nocy i padal na lozko ze zmeczenia, mentalnie zapadajac w glęboki sen – zakradalem sie po cichu, kladlem sie obok na podlodze i przykladalem wnetrze jego bezwladnej dloni do swojej twarzy. Chcialam go czuc wiecej.

Tego jednego wieczoru postanowilem nie czekac i sam poszedlem do baru. To, co zobaczylem, sparalizowalo moje male ciało. Ojciec byl świetnym gospodarzem. Z usmiechem podawal wszystkim kolejne piwa, uslugiwal, sluchal, smial sie donośnie z dowcipów, spiewal nawet piosenki. Mial ten sam blysk w oku, który Zara mial na co dzien. Mezczyzni i kobiety, z którymi przesiadywal, zdawali sie go lubic, nawet szanowac. W dymie papierosowym istniata wersja ojca, z która

chciałbym się zaprzyjaźnić, ale której nigdy nie było dane mi poznać. Pamiętam tylko sztywnienie języka i dudniącą w głowie myśl: więc tu jesteś, jak cię nie ma, tu się chowasz ze wszystkim, co w tobie dobre.

Z czasem przyzwyczailem się do jego nieobecności do tego stopnia, że kiedy w niedziele zostawał z nami w domu, to mnie nagle było za ciasno.

Usłyszałem słowa mamy zza ściany:

– To nie jego wina, że nie chce spędzać z tobą czasu. Nie widzisz, jak go traktujesz? Jakby był jakimś odmieniecem!

Nigdy nie dowiedziałem się, co na to odpowiedział, bo on – w odróżnieniu od mamy – zazwyczaj nie podnosił głosu. Do momentu, w którym jednak podnosił. Jeżeli jednak już do tego dochodziło, to wiedziałem, że trzeba uciekać, a nie słuchać tego, co mówi.

Myślałem, że tak po prostu jest, że nie czuję z tego powodu żadnego żalu czy złości, że nie mam pretensji. Do czasu, aż usłyszałem, jak Zara odpowiedział Robinowi, naszemu koledze ze szkoły, dlaczego nie może się doczekać, żeby być ojcem i mężem.

– Bo chcę być jak mój tata – powiedział lekko, nie zdając sobie sprawy, że moje serce właśnie spadło z głuchym tąpnięciem do żołądka. – Stary, on ma zasady. Jak mówi tak, to znaczy tak, jak mówi nie, to znaczy nie. Nie obchodzą go pieniądze, sława, nie pędzi jak głupi do Miasta. Chce tylko, żeby nam było dobrze. I to niby nie jest bohater? Jest sto razy lepszy niż ci wszyscy „bohaterowie” z Elitarnych. To on powinien być sławny.

Wtedy zrozumiałem, że tylko ja nie znam naszego ojca.

Nie chciałem się nad sobą użalać. Próbowiałem się skupić na tym, co mam. Mam naszą mamę i mam starszego brata, który nawet zaczął

pachnieć podobnie jak ojciec, odkąd popała w sekrecie za oborą... Zaraz, czy właśnie dlatego nigdy nie chciałem osobnego łóżka?

– Miura, co z tobą?! Czemu jeszcze nie piszczysz?! – Zara nachylił się do mnie zza stołu i właśnie kradł moją nietkniętą do tej pory jajecznicę. – Nie cieszysz się na prezent?! Nawet ja się cieszę! Mam wagary za darmo! Mógłbyś mieć częściej urodziny...

Za późno. Nie zdążyłem zareagować i jajecznica już zniknęła.

– Dostanę własne łóżko? – wydukałem wyrwany z zamyślenia, z zaskakującą nawet dla mnie dozą niepokoju. Kątem oka zauważyłem, że Zara kładzie mi kawałek swojej kiełbasy na talerzu, chyba zamiast jajek, które ukradł.

Mama tymczasem pobłażliwie potrząsnęła głową, chwyciła moją dłoń i ścisnęła lekko. Po czym powiedziała najpiękniejsze słowa:

– Nie, głuptasie. Jedziemy do Piasków. Wszystkiego najlepszego.

L3, przez tubylców nazywana Piaskami, była największa w regionie i miała status miejscowości nadrzędnej, szybko osiągając legalny limit mieszkańców wynoszący dziesięć tysięcy. Dla reszty w regionie pozostało życie w mniejszych, rozsianych dookoła wioskach – takich jak nasza – gdzie liczba ludności nie mogła przekraczać dwustu osób na osadę. I oczywiście trzymanie się nadziei, że kiedy jakiś mieszkaniec Piasków umrze, to właśnie ty będziesz następny w kolejce z listy oczekujących na przemeldowanie. Bo kto by nie chciał mieszkać w Piaskach? W odróżnieniu od pozostałych wiosek, które składały się jedynie z prostego budownictwa, Centrum Zarządzania Wodą, przeważnie baru albo dwóch i Szkoły dla młodych... Piaski miały wszystko, o czym tylko możesz marzyć. Własny szpital, urząd, bazę wojskową, bibliotekę, ogród do tańców, ba, nawet Muzeum Starego Świata! I choć wartość biletu wstępu przekraczała cenę tygodniowego wyżywienia, a wystawa nigdy nie była zmieniana,

to chętnych nie brakowało. I to właśnie tam mama nas zabierała z okazji moich urodzin.

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak podekscytowany. Z jednej strony nie chciałem marnować ani jednej minuty dłużej w domu, z drugiej strony głowa mi pękała, kiedy miałem zdecydować, którą koszulę na siebie włożyć. Moja ulubiona była czysta, ale trochę z niej już wyrosłem, a druga była jaka była. Zara obserwował z rosnącą irytacją, jak biegam po pokoju, kilka razy porównał mnie do jaszczurki bez ogona, a w końcu nie wytrzymał, zdjął swoją dżinsową koszulę i wcisnął mi w ręce.

– Może być?!

Zaraz po tym pogroził palcem:

– Jeszcze raz komuś powiesz, że to ja lubię się stroić.

Znałem naszą okolicę na pamięć, jeździliśmy po niej codziennie – albo dla zabawy, albo w przeróżnych sprawunkach – a mimo to... Tego dnia wszystko wydawało się szczególnie świeże i pełne urody. Skąpane w porannym, czerwcowym słońcu bezkresne pola trawy tak wysokiej i tak gęstej, że można w niej pływać. Piaszczyste drogi z kwitnącymi lipami po obu stronach. Pachnące żabami Jezioro Elodyjskie, skrzące aż do bólu oczu. Przyjemnie wilgotny chłód w zacienionym Lesie Mlecznym, gdzie pnie wysokich, krętych drzew miały biały szron.

Dzikie zające co jakiś czas przecinały drogę w odważnych susach, a ja czułem, jak i mnie serce zaczyna skakać w rytmie ich brudnych, futrzanych łapek. Już za chwilę przestanę rozpoznawać okolicę, już za kilka kilometrów zobaczę drzewa, których jeszcze nie znam – dojedziemy do granicy Piasków. To będzie moja najdalsza podróż w życiu.

I właśnie wtedy usłyszeliśmy upiorne, przeciągłe wycie. Wilki.

– Trzymaj. – Zara wcisnął mi lejce w dłonie i nie tracąc ani sekundy, przeskoczył na tyły powozu.

– Co robisz? Wracaj, musimy przyspieszyć, a nie... – Matka zamilkła z oburzenia, kiedy zobaczyła, że Zara wyciąga ze schowka karabinek i celuje w las. – Oszalałeś?! Mówiłam, żadnej broni! To rodzinna wycieczka! Wilki nie podejść w biały dzień, poza tym...

– To broń taty – zauważyłem zdziwiony i nawet nie zdałem sobie sprawy, że mówię to na głos.

Zara zerknął na Matkę i spuścił wzrok, nieco zawstydzony.

– Ojciec kazał mi wziąć. Martwił się, że jedziemy sami i...

– Jasne. Skoro ojciec kazał. – Mama skrzywiła się nieprzyjemnie i skupiła wzrok na drodze, nie chcąc już rozmawiać, a Zara wrócił na miejsce z karabinkiem na plecach, znowu przejmując ode mnie lejece.

– Skoro już i tak wiesz, to będę go miał przy sobie. Na wszelki wypadek.

– Rób, co chcesz – odparła, nawet na niego nie patrząc.

Już do końca drogi między nami było jedynie słyszeć nerwowe chrupanie zbyt suchych ciastek zabranych z domu.

Nigdy do końca nie rozumiałem, co się dzieje w tym naszym małym świecie. Między mną a ojcem, między ojcem a mamą, między Zarą i mamą... Jakbym siedział na dole studni i widział jedynie strzęp nieba. Zwalałem to na wiek. Na pewno jest jakiś inny, dorosły powód, dla którego emocje strzelają do góry w najmniej oczekiwanych momentach, podczas pozornie nieważnych rozmów. Jestem po prostu za młody, żeby to pojąć. Dopiero kilka lat później zrozumiałem, że jeżeli tylko ty w grupie nie wiesz, o co chodzi, to pewnie chodzi o ciebie.

Niecałą godzinę później Piaski zamajaczyły na horyzoncie. Domy pokryte wyblakłymi, pastelowymi dachówkami albo załatanymi kolorowymi blachami, zdawały się ciągnąć i ciągnąć w nieskończoność. Gdzieniedzie prześwitywały wąskie uliczki, też zupełnie inne od naszych, bo pokryte kamienną kostką. Błyszcząca ciepłymi kolorami

rzeka ostrym zygakiem przecinała miasteczko na pół, a ja, chociaż nadal podziwiałem Piaski jedynie z daleka, zdawałem się już słyszeć huk ludzkich rozmów, śmiechów, kłótni. Powietrze wibrowało. A może tylko ja drżałem?

Na początku zachłannie połykałem wzrokiem każdą mijaną osobę i miałem w nosie, czy to niegrzeczne, czy nie. Chciałem zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Nakarmić pamięć ich twarzami, bo nie wiadomo, kiedy znowu będę miał szansę zobaczyć kogoś, kogo nie znam od dzieciństwa. Starszy facet z czerwonymi jak ciemne wino policzkami. Dwie roześmiane panie w żółtych sukienkach, długich aż do ziemi, z trenami ciągnącymi się po brudnej drodze. Mała dziewczynka, w sztruksowych ogrodniczkach, która płakała przeraźliwie. Rodzice potrząsali nią w złości, nie zdając sobie sprawy, że idący obok chłopiec straszy ją żywą rybą ze swojego wiaderka. I jeszcze ta kobieta z wielkim nosem... Myślałem, że takie kartofle na twarzy mają tylko nasi sąsiedzi. I ta para... Co oni robią? Czy ona jest w niebezpieczeństwie? Czy oni coś razem jedzą? Dlaczego on ją... Czy tak wygląda całowanie?!

Nie wiem, który bardziej wykręcił sobie za nimi szyję: ja czy Zara. Ale tylko Zara dostał przez łeb torebką od mamy.

- Ilu niepełnoletnich?
- Obaj. W sensie dwóch.

Mama już podawała mu nasze dokumenty. I od tego zmęczonego, styranego godzinami stania na bezlitosnym słońcu dwudziestoparolatka też nie potrafiłem oderwać wzroku. Był Strażnikiem Wiejskim na bramie – tytuł, którego nawet w myślach nie potrafiłem wymówić bez kpiny. Mogli nimi zostać tylko ci, którzy podeszli do Egzaminu, ale rzecz jasna: nie zdali. Zbyt dumni na podjęcie pracy w Centrum Zarządzania Wodą, zbyt niegotowi na porzucenie marzeń o karierze militarnej, jednocześnie tak załोśni, że zadowalali się służbą

wiejską w Nadrzędnych. Gdybym, jakimś cudem, nie zdał swojego Egzaminu, to chyba ze wstydu wolałbym udawać, że nigdy nawet do niego nie podchodziłem, a nie, jak oni... Akceptować tę nędną nagrodę pocieszenia. Więc stałem tam i patrzyłem. Patrzyłem na niego z pogardą tak głęboką, z jaką tylko nastolatek może patrzeć na możliwą wersję siebie z przyszłości. Tą, do której na pewno nie dopuści. O nie. Ja nie będę nosił tego wełnianego, zbyt grubego na lato i zbyt cienkiego na zimę przepoconego uniformu. Nie. Nawet jego pistolet nie był dużo lepszy od karabinku Zary, zauważyłem. A potem ten drwiący uśmieszek szybko zniknął mi z twarzy, bo w panice przypomniałem sobie, że spojrzenia nie działają jednostronnie. On... On też mi się przyglądał.

– Za ile lat masz Egzamin? – zapytał.

Mama i Zara zerknęli na niego zdziwieni. Oni nie rozumieli, dlaczego zaczyna ze mną rozmowę, a ja już płonąłem rumieńcem ze wstydu. On usłyszał. Usłyszał moje myśli. A na pewno je zobaczył, w moich oczach. Innego wytłumaczenia nie było.

– Za trzy... cztery lata – i nagle pokorny dodałem w pośpiechu: – proszę pana.

Nachylił się w moją stronę. Rzenie koni z wozów ustawionych w kolejce za nami stało się nerwowe i ponaglące. A może to ja zacząłem się nie na żarty stresować.

– Za cztery lata – powiedział ciszej – jak już nie zdasz, wróć tutaj, coś ci wtedy powiem. I nie będziesz się już uśmiechał jak debil.

I kiedy mnie, i matkę wmurowało w ziemię, Zarę coś od niej odkleiło, błyskawicznie i zdecydowanie.

– Hej! Panie władzo!

Wlazał już między nas. Przez sekundę miałem tę wizję, białą jak gorączka, w której Zara zaczyna się z nim bić. Oddech już miał mi się urwać, kiedy mój brat zamiast pięści wyciągnął w jego stronę... ostatniego sucharka z kieszeni. I przechylił wdzięcznie głowę.

– Może ciasteczko?

Zara zawsze nosił przy sobie więcej niż jedną broń.
„Te pierdolone dołeczki”

Kiedy już przekroczyliśmy bramę, musiałem zrezygnować ze swojej gry bezwstydnego patrzenia i zapamiętywania. Nie tylko dlatego, że pan strażnik skutecznie mi ją obrzydził. Ludzi było *za dużo*. Nie wiedziałem na kim albo na czym skupić wzrok, ktoś mnie potracił, ktoś się o mnie otarł, czyjś śmiech dudnił mi w uszach, konie pędziły za szybko w wąskich uliczkach i jeszcze te przytłaczające, ciężkie zapachy... Poczułem nagły zawrót głowy, oddech stał się płytki, w klatce piersiowej pojawił się dziwny ścisk, a mama szarpała mnie za ramię.

– Słyszysz mnie? – Szukała kontaktu wzrokowego. – Ani słowa ojcu o tym, ile dzisiaj wydamy pieniędzy. Jasne?

Kiwnąłem głową. Mama się rozluźniła, a nawet uśmiechnęła.

– No, to dokąd idziemy najpierw?

Nie potrafiłem odwzajemnić tego uśmiechu. Nie żeby zauważyła. Już nas poganiała, żebyśmy szli za nią. I szedłem. Z każdym krokiem coraz bardziej zły na siebie. To jest mój dzień, moja wycieczka. Co się ze mną dzieje? Czy to naprawdę tylko przez tego gościa na bramie? Potrząsnąłem głową. Nie zgadzam się. Miura, weź się w garść.

Pokonywaliśmy kolejne uliczki w drodze na targi, a każdy cudzy oddech na mojej szyi, każde potknięcie o nierówną, brukową kostkę i kakofonia dźwięków z otwartych na oścież okien sprawiały, że nogi miękły mi w zastraszającym tempie. To, co jeszcze przed chwilą było ekscytacją, teraz rozlewało się lękiem pod skórą. Zatrzymałem się, żeby wytrzeć zimny pot z okolic ust. Mama nawet nie zauważyła. Zbyt zaintrygowana wizją kupienia nowej pary džinsów na targach, parła do przodu przez tłum, rozpychając morze ludzkich głów jak czołowy zapaśnik. Robiła się coraz mniejsza, a mnie zabrakło głosu w suchym gardle, żeby ją zawołać. Kiedy zniknęła za rogiem, już

całkiem przestałem rozumieć swoje ciało. Nie chciało się ruszyć z miejsca. Zaciśnąłem z całej siły oczy, w myślach ostro przywołując się do porządku. Żadne skierowane do siebie samego groźby nie pomagały. Dopiero kiedy otworzyłem je ponownie, zdałem sobie sprawę, że obok mnie stoi Zara... I też jest błądy. Musieliśmy wyglądać przekomicznie, stojąc tak jak dwa słupy soli pośrodku gwarnej uliczki, prawie dorośli, a tak bardzo zagubieni, bo mama zniknęła nam z oczu w tym dziwnym, głośnym świecie. Nasze spojrzenia się spotkały i Zara z rozbrajającą szczerością sapnęła ciężko:

– Nigdy się jeszcze tak, kurwa, nie bałem.

Ulżyło mi. Nie jestem jedyny. Tymczasem Zara zmusił się do krzywego uśmiechu:

– Ty musisz to kochać. W końcu chcesz mieszkać w Mieście.

Miał rację. Przecież... Chcę... Mieszkać w Mieście. Nawet jeśli nigdy tam nie byłem, to wiem, że mieszka tam ponad dwieście tysięcy osób. W Piaskach zaledwie dziesięć tysięcy. Umiem liczyć. To, co jest tutaj... To tylko przedsmak wymarzonego życia *tam*. Życia, o które już za parę lat będę walczył do ostatniej kropli potu podczas Egzaminu. I nawet jeśli nie umiem sobie tej upragnionej rzeczywistości jeszcze do końca wyobrazić (bo nawet Piaski i ich intensywność przekroczyły wszystkie moje oczekiwania) to wiem, że jeżeli moje fantazje mają stać się prawdą, muszę być gotowy. Piaski to nic innego jak rozgrzewka – przed życiem w wielkim mieście. Zwyczajny trening. A przecież kocham treningi. Każda wirująca myśl w mojej głowie nagle spadła we właściwe miejsce, układając się w logiczną mozaikę. Mięśnie się rozluźniły, dźwięk i wizje ustabilizowały, a ja sam znalazłem w sobie dość krzepy, żeby złapać Zarę za rękę i naśladując jego zawadiacki ton, powiedzieć, że to przecież nic takiego. To samo co znamy z naszej wioski, tylko więcej, bardziej i mocniej. I że strach jest naturalną reakcją, ale to nie znaczy, że jest się czego bać, więc uszy do góry. Moja przemowa poskutkowała. Zauważyłem rozluźnienie w jego ciele. I poczułem

taki przyływ dumy, że to ja pocieszam jego, a nie na odwrót, że... przedobrzyłem.

– Jak dalej będziesz się bał, to wiesz, masz mnie obok – wypiąłem dumnie pierś do przodu, a Zara zamrugał kilka razy, po czym wybuchł dzikim śmiechem. Świetnie. Przez chwilę byłem mądrym bratem, teraz znowu tylko cukierkiem-idiotą.

– Obronisz mnie, tak? – śmiał się jak z dobrego żartu, poprawiając karabinek na plecach, biorąc mnie pod ramię i prowadząc do przodu już swobodnym krokiem.

Za rogiem prawie zderzyliśmy się z zirytowaną mamą.

– Wolniej nie możecie?!

I podczas kiedy mama tonęła w stoiskach odzieżowych, kupując nową garsonkę dla siebie, koszulę dla ojca, džinsy dla siebie, bieliznę dla mnie, sukienkę dla siebie, buty dla Zary (i dla siebie), trykot letni dla siebie... My chcieliśmy zobaczyć wszystkie stoiska na placu. Myśleliśmy, że zrobimy kółko i wrócimy do mamy, ale kółko nie chciało się zamknąć: stanowisk było setki. Za każdym razem, kiedy myślałem, że już nic mnie nie zaskoczy, nowy stragan okazywał się kolejną kopalnią skarbów. Owoce pachnące obco i rzeško, w kolorach, w których wydawało mi się, że rzeczy nie mogą być jadalne. Fikuśne słodczyce o jeszcze bardziej fikuśnych nazwach, ręcznie malowane dywany, świece, krzesła w najróżniejszych wydaniach, wysokie, niskie, z oparciami albo bez (a myślałem, że krzesło jest krzesłem i nikt nigdy nic nowego nie wymyśli), drogie, bo plastikowe naczynia, książki ułożone w stosach na ziemi, z cenami sięgającymi z kolei już samego nieba, pianina i skrzypce lśniące nową farbą, a nawet tak ciężko dostępne maści lecznicze. Prawdziwym zaskoczeniem okazało się jednak stoisko z kosmetykami do makijażu, przy którym spędziliśmy zawstydzająco dużo czasu, głównie dlatego, że nie mogliśmy oderwać wzroku od sprzedawczyni. Jej twarz była nienaturalnie biała, wokół oczu widoczna była mroczna plama, a usta

miały jadowity, zielony kolor. To był pierwszy raz, kiedy widzieliśmy kobietę w makijażu z tak bliska. Efekt był przedziwny, nieco przerażający i hipnotyzujący zarazem. Do tego stopnia, że szeptem zapytałem Zarę, czy kobieta się obrazi, jak dotknę jej twarzy. Dłoń sama się poderwała... I szybko została przez Zarę przechwycona, zanim dosięgła swojego wstydliwego celu. To był moment, w którym grzecznie się do niej uśmiechnął, podziękował i w końcu ruszyliśmy dalej. Całe szczęście, bo zaledwie kilka stoisk dalej odkryłem... Swoje własne, prywatne niebo. Stragan z kartami do gry.

Plastikowe, oryginalne karty do gry w Celebro z podobiznami Elitarnych tak realistycznymi, że miałem wrażenie, jakbym patrzył na kogoś z nich z bliska. Widziałem te karty już wcześniej, ale nigdy nawet nie śmiałem prosić o kupienie czegoś tak zbędnego. W naszej wiosce tylko jeden chłopak, Malkolm, miał dwie prawdziwe karty. Cała reszta nastolatków, łącznie ze mną i Zarą, sama rysowała sobie własne, a w soboty spotykaliśmy się u kogoś w domu, żeby w nie grać, czasami do rana. Jeden punkt za Strażnika Wiejskiego, dwa punkty za Żołnierza trzeciej rangi, więcej punktów za drugą i najwięcej za pierwszą. Było jeszcze trochę innych gdzieś pomiędzy, ale dopiero wtedy, kiedy na stole lądowały karty czterech żołnierzy Elitarnych, zaczynała się prawdziwa rozgrywka. I chociaż na widok każdego z nich na żywo prawdopodobnie popuściłbym ze szczęścia, moim ulubionym był zdecydowanie *Aleks*. W tym roku kończył dwadzieścia cztery lata i włosy miał tak rude... Nie, nie rude. Czerwone. Tak jaskrawo czerwone, że aż nienaturalne. Chłopaki śmiali się ze mnie, że lubię go tylko dlatego, że jest „najnowszy”. Dołączył do Elitarnych zaledwie rok temu. Może mieli trochę racji, przynajmniej na początku, ale im więcej informacji zapalczywie wycinałem o nim z gazet, tym większym idolem się dla mnie stawał. Rok temu, zaledwie pięć lat po zdaniu Egzaminu, będąc żołnierzem drugiej rangi, został wysłany na misję do Peryferii warszawskich, by

odzyskać ostatnie przedmioty Starego Świata. W trakcie ekspedycji fundamenty budynku się osunęły i jego drużyna została uwięziona pod ruinami czegoś, co kiedyś było nazywane Pałacem Kultury. Aleks w pojedynkę uratował każdego z nich, wykazując się taką siłą fizyczną i trzeźwością myślenia, że zapewnił sobie niespotykany do tej pory błyskawiczny awans do Elitarnych. W ten sposób stał się najmłodszym zaakceptowanym członkiem tej ekskluzywnej grupy. A teraz uśmiechnięty patrzył na mnie z karty, namalowany tak pięknie, jakby naprawdę tu był, prawdziwy bohater...

Ciężko nie marzyć, kiedy trzyma się taką kartę w dłoni. O tym, czy pewnego dnia to moja twarz na niej będzie. Czy to o mnie chłopaki z wioski będą godzinami rozprawiać z wypiekami na twarzy...

Czy Zara właśnie ziewnął? Zauważył moje gniewne spojrzenie i rozłożył nieporadnie ręce:

– No co? Stoimy tu już dwadzieścia minut. Napatrzyłeś się?

Obrażony zacząłem odchodzić i dopiero po kilkunastu metrach zdałem sobie sprawę, że Zara za mną nie idzie. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak kupuje kartę. W życiu tak szybko nie biegłem. Tak samo jak nigdy nie rzuciłem mu się tak mocno na szyję, ściskając go jak dzieciak. Dwie sekundy później, cały czerwony ze wstydu, już tego żałowałem, ale Zara śmiał się tylko, wciskając mi wymarzoną kartę z Aleksem.

– Wiesz, jakoś tak czuję, że to jest dobry moment, żeby zapytać... A ty co mi dasz na moje urodziny?

A myślałem, że nie mogę się jeszcze bardziej zaczerwienić. Rozbawiony Zara klepnął mnie w ramię. Chciałem po prostu podziękować, ale byłem tak zmieszany, że zamiast tego wypaliłem:

– Skąd miałeś pieniądze?

Aż uniósł wysoko brwi ze zdumienia.

– A tobie się wydaje, przepraszam bardzo, że ja tyram po szkole na tym polu u Malkolma dla przyjemności? Oszczędziłem.

– Dziękuję...

– No w końcu! – prychnął niby obrażony, ale już po chwili błysnął zębami w uśmiechu. A mnie aż parzyły własne dłonie, które trzymały ten największy skarb.

Na środku placu ludzie walczyli zapamiętale o napiwki: połykając ogień, wykonując sztuczki gimnastyczne albo wystawiając przedstawienia. Jednak prawdziwą gwiazdą był kowal, który dawał popis swoich umiejętności. Siłą mięśni w rozmiarze mojej głowy dzielnie walczył z osłepiająco białym od żaru metalem. Tę walkę na końcu zawsze wygrywał, o czym świadczyła cała kolekcja smukłych, pięknych mieczy i łuf pistoletów prezentowana obok. Razem z Zarą próbowaliśmy obliczyć, ile pensji ojca byśmy potrzebowali, żeby kupić choć jeden i nawet jakby się udało, to jak się nim dzielić na treningach... Zara twierdził, że ma pierwszeństwo, bo jest starszy. Już mieliśmy zacząć się o to kłócić, kiedy podszedł do nas drobny mężczyzna w zniszczonej, granatowej bluzie. Kaptur miał zaciągnięty na głowę tak głęboko, że widać było tylko jego siwe wąsy i małe, spierzchnięte usta gdzieś pomiędzy, gdy wyszeptał:

– Chłopaki, może chcecie kupić coś naprawdę interesującego?

– Nie będę płacił za seks – odparł twardo Zara i już zagarniał mnie ramieniem, żeby odejść.

Nie wiem, co zaaferowało mnie bardziej. Czy fakt, że Zara znał i powiedział na głos słowo „seks”, czy to, że faktycznie była taka możliwość w Piaskach?! Tymczasem Granatowy Kaptur chwycił mocno Zarę za łokieć, przysuwając go bliżej siebie.

– A za towary z Peryferii? Też nie zapłacisz?

Zara zamilkł. Wbił tylko pełne zdziwienia spojrzenie prosto w czelusć kaptura. Za to we mnie aż zagotowała się krew.

– Za dobrą cenę mogę nawet odpalić kwadrans używania komputera... Tak, działającego. Wiesz, co to komputer?

Z każdą sekundą ogarniał mnie coraz większy gniew. Na tego mężczyznę – za mówienie takich bluźnierstw – i na brata, że pozwala mu je dalej mówić. W końcu nie wytrzymałem.

– Każdy wie, że w Peryferiach nic już nie ma! – warknąłem. – Wszystkie obiekty Starego Świata zostały przejęte przez Elodię albo są dostępne legalnie w Muzeum. Masz nas za głupków?!

– Przeciwnie, miałem za mądrzejszych.

Mężczyzna zerknął na mnie z niesmakiem i po raz pierwszy błysnęło jego ciemne oko. Odszedł, a ja nadal nie mogłem się uspokoić.

Walnąłem Zarę w zebro.

– Co z tobą?! Facet powinien siedzieć za fałszywą propagandę. Chciał nas naciągnąć.

– Może nie. Skąd wiesz?

– Jak to skąd? Elodia cały czas powtarza, że jedynie w Mieście...

Zara wykonał gest wymiotowania, kiedy wspomniałem o Elodii, a mnie замуrowało.

– Możesz sobie tak żartować w domu, ale nie tutaj. Jeszcze ktoś cię usłyszy – wykrztusiłem po chwili, w środku modląc się, żeby nie zaprzeczył... To *był* tylko żart.

W muzeum nie było okien. Mimo upalnego lata na zewnątrz, w środku panował przyjemny chłód i cisza. Razem z mamą stałem z nosem przyklejonym do szyby, przez ponad godzinę oglądając z każdej strony rzecz nazwaną „drukarką”. Prostokątny, szary przedmiot z lekkim połyskiem, wąską szczeliną pomiędzy i małymi drzwiczkami z boku, który (podobno) jest w stanie napisać nieskończoną ilość listów w rekordowym czasie, o ile, oczywiście, nakarmisz go *elektrycznością*. Czekałem na własny zachwyt, ale nie nadchodził. Wręcz przeciwnie. Z muzeum wyszedłem z przejmującym poczuciem klęski. Te wszystkie drukarki, mikrofalówki, telefony komórkowe i laptopy będące częścią ekspozycji wyglądały jak zwykłe zbiorowisko dziwacznie ukształtowanego złomu. I naprawdę próbowałem sobie wyobrazić, że się poruszają, że robią te wszystkie magiczne rzeczy wypisane na tabliczkach obok gablot, ale nie potrafiłem. Tak jak nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby kawałek jakiegokolwiek innego, przypadkowego metalu był w stanie nagle

mówić, podgrzewać jedzenie czy robić pranie. Ostatecznie, jedyną rzeczą, która mi w tym budynku zaimponowała, była... tak dobrze mi znana – elodyjska flaga. Ta sama, którą codziennie widziałem powiewającą na maszcie przed bramą wjazdową naszej wioski i przed budynkiem szkoły. Ta sama, a jednak inna. I nie chodziło tylko o to, że była większa i czysta. Pszczołę w emblemacie wyhaftowano złotymi nićmi, a zielone listki, które ją okalały, zazwyczaj bure, tu miały srebrzysty połysk. Wydała mi się piękna. Krótki moment ulgi, jak zaczerpnięcie powietrza, przed falą rozczarowania absolutnego. Bo nie tym miałem się zachwycić tego dnia w Muzeum. Nie tym.

Zara sychnął jeszcze solą na tę ranę:

– Ale to było nudne.

Nie odpowiedziałem.

– Nie boisz się tych ludzi w Mieście? – dodał ciszej. – Nie są tacy jak my.

Zara mówił do mnie, ale nie do końca. Zatopiony we własnych rozmyślaniach, patrzył gdzieś ponad moją głowę, daleko. Czekaliśmy na zewnątrz na mamę, która chciała jeszcze koniecznie zobaczyć odkurzacz w drugim skrzydle muzeum. Duży zegar na placu wybijał niedbale kolejne uderzenia. Dochodziła czwarta po południu i żar w powietrzu powoli ustępował miejsca wilgotnemu zapachowi rzeki.

– Pewnie, że nie są – starałem się brzmieć swobodnie, ale ton Zary mnie niepokoił. – Są lepsi. Dlatego mają zaszczyt mieszkania w Mieście.

Zara uśmiechnął się pod nosem i potrząsnął głową, jakby spodziewał się ode mnie dokładnie takiej odpowiedzi.

– Mieszkańcy Miasta potrzebują tych przedmiotów, żeby wszystko robiły za nich. Pisały listy, sprawdzały pogodę, gotowały... Mówisz, że lepsi? A nie brzmią przypadkiem jak banda skończonych dupków, którzy nie potrafią się sami podetrzeć?

Dłonie zaczęły mi się pocić, instynktownie rozglądałem się nerwowo dookoła, czy nikt go nie usłyszał.

– Zara, zamknij się, proszę cię – i naprawdę prosiłem.

– Dlaczego? Tylko ty mnie słyszysz.

– Nie! Nie słyszę! Nie chcę słyszeć! A jak ochłoniesz, to będzie ci głupio, że gadałeś takie bzdury! – zaklinałem rzeczywistość, jednocześnie czując rosnącą gulę w moim gardle. – Wszyscy mieszkańcy Miasta są ciężko pracującymi żołnierzami, którzy kiedyś też mieszkali we Wioskach! Jak my! Jeśli nie mają ochoty się podcierać, to ich prawo! Zasłużyli! A ty... Nie wiem, co ci dzisiaj odużyło. Może to z przemęczenia, może za dużo wrażeń, ale...

– Pierwszy raz mówię ci to, co myślę. To mi odużyło.

To była najgorsza odpowiedź, jaką mogłem usłyszeć.

– Nie, nie myślisz tak, po prostu... – Nawet nie zdałem sobie sprawy, że gorączkowo kręcę przecząco głową i przestępuję z nogi na nogę jak jakiś maniak.

– A jak myślę, to co? – Ostry ton Zary przywołał mnie do porządku. – Naskarżysz na mnie?

Zamartem. Złożyć skargę? Na niego? Broda mi zadrżała, a obraz pokrył się mgłą. Jak mógł w ogóle to powiedzieć?

Zara zbliżył się, nie odrywając ode mnie poważnego wzroku.

– Masz już piętnaście lat – mówił wolno, z nieznanym mi dotąd chłodem w głosie. – Świetnie, że uważnie słuchasz tego wszystkiego, czego uczą cię w Szkole. Ale czas zacząć myśleć samodzielnie, chociaż trochę. Rozumiesz?

Nie rozumiałem. Niby o czym?

Tę rozmowę jak z najgorszego koszmaru przerwało nagłe poruszenie na ulicy. Banda ludzi przebiegła, krzycząc z ekscytacją:

– Żołnierze! Prawdziwi żołnierze! Chodźcie!

Zara i ja wymieniliśmy szybkie spojrzenie – i natychmiast wiedziałem. Rzuciłem się pędem, zanim zdołał mnie powstrzymać.

– Miura! Stój! Musimy czekać na...

Nie wiem, co powiedział dalej, bo byłem już za daleko. Biegłem w podeksytowanym tłumie, przepychając się łokciami, żeby być pierwszy. Zdesperowany, aby się zachwycić, tym razem naprawdę.

– Uważaj, bo spadniesz! – Zara chwycił mnie za koszulę, bo tak bardzo wychylałem się przez balustradę mostu, że prawie straciłem równowagę. Znalazł mnie.

Przez chwilę opędzałem się od niego jak od muchy, po czym znowu wspiąłem się na palce, nie zważając na to, że byłem miażdżony przez napierającą falę ludzi z tyłu. Bariarka wbijała mi się tak mocno w ciało, że czułem, jak mnie przepoławia, a Zara ścisnął mnie równie boleśnie za kark – jak jakiegoś zwierzaka – i sapał coś, że za chwilę siłą przygwoździ mnie do ziemi... Ale nic się nie liczyło. Nawet to jego dzisiejsze dziwne zachowanie i wszystkie bolesne słowa, które między nami się wydarzyły. Nawet nie ten strażnik na bramie i dzikość Nadrzędnej, która mnie ogłuszyła. Nawet nie ta przejmująca martwość metalu w Muzeum. Smutek, strach i rozczarowanie rozplynęły się jak kostka cukru w kawie. Jedyne, o czym mogłem myśleć, to że już za chwilę dostanę najlepszy prezent urodzinowy! Taki, o którym nawet nie śmiałem śnić! Zobaczę Żołnierzy! Prawdziwych Żołnierzy! Na własne oczy! Fala euforii wypełniła mnie całego, serce trzepotało radośnie w klatce piersiowej, a oczy powoli zaczynały łzawić, bo bałem się mrugnąć. Za nic nie chciałem przegapić choćby milisekundy z tej fantastycznej chwili. Wszystko inne stało się jedynie szumem. Istniały tylko te dwie małe kropki na niebie, które stawały się coraz większe, stopniowo przybierając ludzką formę – zbierając coraz większe oklaski podeksytowanego tłumy. I jeszcze większe ode mnie.

Już po chwili żołnierze byli na tyle blisko, że byłem w stanie rozpoznać kolor ich uniformów: ciemnozielony. Zacząłem szarpać Zarę za ramię w niepohamowanej ekscytacji:

– Druga ranga! To druga ranga! To żołnierze drugiej rangi!

Zara stęknął, bo przez moje gwałtowne ruchy musiał mnie trzymać jeszcze mocniej, samemu walcząc z tłumem.

– Wiem, łosiu! Znam kolory! – warknął, ale już nie zwracałem na niego uwagi.

Żołnierze byli tak blisko, że wyraźnie widać było ich nogi, ręce, twarze... Przecięli powietrze szybciej niż drapieżne ptaki, tuż przed lądowaniem zwalniając, aby dotknąć ziemi stopami cicho i bezszelstnie. Moje usta otwierały się i zamykały, a jedyne, co się z nich wydostało, to sapnięcie zachwytu. Tłum również zamilkł, ale tylko po to, aby wziąć rozpęd do dzikiej fali krzyków i owacji. Ja też wrzeszczałem, jak ogłupiały, nie wiem nawet co.

Kocham was! Spójrz na mnie! Znacie Aleksa?!

Kiedy ludzie rzucili się w ich stronę, prawie taranując mnie i Zarę na moście, Żołnierze podnieśli wysoko do góry dłonie w geście zatrzymania. Wszyscy posłusznie zachowali dystans. I całe szczęście, bo gdyby nadal napierali, to nie wiem, czy plecy Zary by to wytrzymały. Wszyscy łącznie ze mną z zapartym tchem czekali na to, co wydarzy się dalej. Tymczasem żołnierze rozglądali się dookoła, spokojnie i bez pośpiechu. A ja wykorzystywałem każdą sekundę po to, aby lepiej im się przyjrzeć. Ich uniformy były dokładnie takie jak na rysunkach w podręcznikach szkolnych. Pokrywające całe ciało od szyi po koniuszki palców, idealnie przylegające do sylwetki. Ciemnozielone kostiumy wykonano z cieniutkiego, inteligentnego tworzywa, które dostosowuje się do pracy mięśni, jest odporne na ogień, wodę, uderzenie mieczem, a nawet kule. Na plecach mieli metalowy przedmiot niewielkich rozmiarów podobny do plecaka. Najbardziej fascynującą częścią ekwipunku były jednak ich okulary, wykonane z czerwonego szkła i okalające całą ich głowę. Na szklach coś błyszczało, pojawiało się i znikało niczym światło na jeziorze w słoneczny dzień. Zaraz... Czy to elektryczność?!

Chciałem się wychylić jeszcze bardziej, ale zatrzymało mnie ostre szarpnięcie Zary.

– Przeginasz – wycedził.

Już chciałem się z nim wyklócać, że nie jestem dzieckiem i żeby mnie puścił, kiedy nagle... Fala ludzka zmieniła kierunek. Wiwaty i oklaski gwałtownie się urwały, wszyscy zaczęli się panicznie cofać, ba, uciekać. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Dopiero po chwili, pośród głów, ramion i rąk, udało mi się dostrzec... jak jeden z żołnierzy celuje obco wyglądającym pistoletem... Prosto w tłum.

– O kurwa – wyszeptał zszokowany Zara i zaczął mnie ciągnąć jak najdalej.

Zaprotestowałem.

– Przestań, tylko się popisują, przecież nie strzelą do...

Padł strzał. Nie usłyszałem go. Zobaczyłem. Ich broń – w przeciwieństwie do naszej – nie wydała z siebie żadnego dźwięku, a amunicja przypominała wiązkę światła, która pojawiła się równie błyskawicznie, co zniknęła.

Ludzie zwariowali. Zaczęli uciekać, nie patrząc na to, kogo trafiają po drodze. Ja nie mogłem się ruszyć z miejsca. Nie rozumiałem. Naprawdę strzelili w tłum? Do kogo? Po co? Nie, niemożliwe...

Zara trzymał mnie z całej siły, choć co chwila był potrącany. W końcu zrezygnował z ucieczki i zamiast tego przyłgnął do najbliższej balustrady, zasłaniając mnie swoim ciałem. Cekał, aż ludzie się rozrzedzą. Nie wiedziałem, co się dzieje. Słyszałem tylko krzyki przerażenia, rodziców dramatycznie nawołujących swoje dzieci, które zgubiły się w tłumie, czyjs płacz, głosy, a na pierwszym planie: szaleńcze uderzenia serca Zary. Kiedy w końcu nasz kawałek mostu się rozrzedził, wyrząłem zza jego ramienia.

Żołnierze stali nad ciałem postrzelonego człowieka. Upewnili się, że nie żyje – i odlecieli.

Zara ciągnął mnie dalej, ale wyrwałem się mu i pobiegłem w stronę trupa. Musiałem zobaczyć.

Drobnej postury mężczyzna, z kępkami siwych włosów nad uszami, leżał skulony na ziemi. Przerwy pomiędzy kostką brukową znajdujące się tuż pod nim powoli wypełniały się krwią. Kiedy się do niego zbliżyłem, uderzył mnie ciężki zapach spalenizny i surowego mięsa. Po chwili dostrzegłem średnich rozmiarów dziurę tam, gdzie powinien być brzuch. I pozostałości jelit, które wysypały się na zewnątrz. To wtedy ugięły się pode mną kolana. Nie potrafiłem już wstać o własnych siłach.

Zara dobiegł, chciał podnieść mnie szarpnięciem i ruszyć dalej, ale też się zatrzymał.

Obaj patrzyliśmy na granatową bluzę z kapturem, którą mężczyzna miał przewiazaną w pasie. I obaj ją rozpoznaliśmy.

A potem Zara zemdłał.

